

Odpowiedzialność historyków

29 września 2024

Mój Dolny Śląsk znów cierpi. Dwa miesiące temu przemierzałem go rowerem; w upalne dni wędrując od Bad Muskau, na Nową Sól, Głogów, Wołów. Teraz z napięciem wsłuchiwałem się w komunikaty o stanie wód na poznanych obszarach.

Nie o tym jednak będzie moja opowieść. Przestrzeń jest świadkiem historii, a w niej zawarta jest pamięć o różnych dramatach: powodziach, suszach, epidemiach, wojnach, wygnaniach. Pomniki kształtują naszą świadomość. Pamięć zbiorowa, w odróżnieniu od indywidualnej lub rodzinnej, jest tworem sztucznym, wynikiem socjalizującej edukacji. Kształtują ją historycy, lecz to rządzący politycy dyktują, o czym mamy pamiętać, co mamy zapomnieć. Lubię podróże po Dolnym Śląsku, bo w jego przestrzeni zakonserwowała się ta walka o pamięć zbiorową.

Z samą nazwą jest pewien ambaras. Jako mieszkaniec Częstochowy, od blisko ćwierćwiecza nie mogę się oburzać, gdy ktoś mnie nazwie Ślązakiem. Za to ze zdziwieniem przyjęto by takie określenie mieszkańca Wrocławia. Czyżby tylko Górny Śląsk rodził recht Ślązaków, Opolszczyzna wasserpolaków, a dalej na zachód to już przefarbowane galileusze?

Niemiecki Dolny Śląsk stworzył Fryderyk Wielki. Egocentryczny homoseksualista niecierpiący rodzaju ludzkiego, Putin XVIII wieku, przekonany, że o jego sile świadczy zdolność do agresji i podboju innych państw; był mistrzem w wynajdowaniu rozmaitych pretekstów usprawiedliwiających przemoc wojenną. Rzeczywisty powód podbicia Śląska był prosty: bo mógł. Prusy utrzymywały nieużywaną i dobrze uzbrojoną 70 tysięczną armię; a Śląsk, dostarczający do kasy Cesarstwa Austriackiego blisko 15% dochodów, był łakomym kąskiem. Dla Fryderyka, wygłodniałego wilka, obejmującego w 1740 roku tron Królestwa Pruskiego, była to okazja na niezły obiad. Potrzebował tylko

pretekstu, ale od czego miał prawników i historyków. Pierwszy powód wywiedziony historycznie przez prawników (a może odwrotnie) podnosił wartość tolerancji. Cesarstwo Habsburgów było katolickie, mieszczenie z Dolnego Śląska byli protestantami. Katolicyzm wg Lutra był religią nietolerancyjną, zatem obowiązkiem protestanckiego króla było występowanie w ich obronie. To, że większość protestantów z Wrocławia, Brzegu, Jaworu, Świdnicy itd. nie pragnęła ochrony pruskiej, woląc niższe podatki cesarskie, nikogo w Poczdamie nie interesowało.

Jeszcze bardziej iluzoryczny był inny pretekst historyczno-prawny. W 1537 r. doszło do podpisania umowy między elektorem brandenburskim Joachimem II Hektorem Hochenzollernem i księciem legnicko-brzeskim Fryderykiem II z dynastii Piastów, dotyczącej sukcesji. Obaj książęta byli bezdzietni, zgodnie z umową kto przeżyje-dziedziczy; Joachim po śmierci Fryderyka otrzymałby Legnicę i Brzeg; Fryderyk, gdyby pierwszy zmarł Joachim – Dolne Łużyce. Z porozumienia nic nie wyszło, bo w obu dynastiach pojawili się uprawnieni sukcesorzy. Ten zakurzony pergamin przydatny okazał się w 1740 roku, gdy na tron Cesarstwa Austrii wstąpiła kobieta – Maria Teresa. Zasady obowiązujące w dynastii Habsburgów nie przewidywały rządów kobiet. Ojciec Marii Teresy Karol VI zadbał o legalizację, określił to jako sankcję pragmatyczną, uzyskując jej zatwierdzenie przez wszystkie twory państwowe składające się na Cesarstwo, w tym także zyskując zgodę stanów Dolnego Śląska. Dworscy prawnicy i historycy, służąc Fryderykowi Wielkiemu, zręcznie podważyli legalność sankcji pragmatycznej, na podstawie odkurzonej umowy z 1537 r., określili roszczenia Króla Prus. O reszcie zdecydowały armaty.

Taki był klimat epoki, gdy państwa były własnością dynastii, a spory sukcesyjne nie różniły się od podobnych sporów rodzinnych o podział „ojcowizny”. Rzeczywisty problem dla historyków zaczął się, gdy królowi ucięto głowę, ogłaszając, że suwerenem w państwie jest lud. Lud pojawił się jako,

pewnego rodzaju, odnośnik stylistyczny, definiowany czasem jako ogół mieszkańców danego terytorium. Od samego początku rodziły się wątpliwości: jeśli ogół to czy ludem jest także arystokracja; jeśli ogół, to czy takie same prawa „suwerena” posiada, ktoś, kto niedawno się „u nas” osiedlił; jeśli ogół, to czy wliczamy w to innowierców, innokulturowców, innoskórców. Tu konieczne jest przywołanie teorii Floriana Znanieckiego o grupie i przestrzeni. Jeśli istnieje grupa połączona pewnymi cechami wspólnymi (krwią, religią, kulturą itp.), to ona uznaje siebie za uprawnionego gospodarza danej przestrzeni.

„Wynika stąd, że żaden człowiek indywidualnie nie może „nigdzie” przebywać, trwale lub przejściowo, nie wchodząc przez samą swą obecność w zakres własności przestrzennej jakiegoś zespołu. (...) W każdej chwili jednak może powstać pytanie, „jakim prawem” jest on tam obecny. Obecność jego bowiem w obrębie danej zespołowej wartości przestrzennej jest społecznie doświadczana jako pewnego rodzaju uczestnictwo w tej wartości. Zespół, który nią włada, rozstrzyga, kto i jak może w niej uczestniczyć, komu, kiedy i po co wolno tam być lub tam tędy się poruszać (...) Wszelkie zaś „prawo”, przyznawane człowiekowi, jest nieodłącznym składnikiem jakiejś roli społecznej, spełnianej przez niego wśród innych ludzi, przy ich pomocy i według ich wymagań” [1].

Lud, ogół mieszkańców, nie spełniał warunków bycia grupą połączoną wartościami wspólnymi. Potrzebny był Naród, wspólnota ducha, wyrażająca się wspólną pamięcią zbiorową, językiem, kulturą, obyczajem, zwyczajem, a czasem także religią. Tworzyło to nowe wyzwanie dla historyków. W przeszłości ich praca uzasadniała legalność rządów króla i założonej przez niego dynastii. Po rewolucji francuskiej należało stworzyć nowego suwerena oraz tak ukształtować pamięć zbiorową, by stała się cementem wspólnotowości. Nie tylko odkryć „odwieczność” Narodu, ale też ten naród do „odwieczności” przekonać. Fundamentem prac zdecydowanej

większości historyków jest założenie, że Naród jest zjawiskiem trwałym, istniał w podobnym sensie zarówno w X wieku, jak i w XXI w.; i ta odwieczność uzasadnia jego prawa bycia gospodarzem danej przestrzeni. Współcześni Grecy są potomkami Achajów, więc tylko oni posiadają prawo rządzenia Atenami, Włosi są dziedzicami Rzymian, wspólnota narodowa Żydów posiadała więc i nadal posiada prawo by władać Jerozolimą... itd. Historycy Fryca Wielkiego, odkurzywszy szpargał z 1537 r., dowodzili, że Śląsk należny jest Hohenzollernom. W XX w. podobnymi sztuczkami historycy z różnych państw uzasadniali przestrzenny kształt swoich państw.

Krytykując instytucje narodu, nie sposób nie zauważyć przydatności tego tworu. Jednostka ludzka jest i musi być istotą stadną, inaczej by nie przetrwała. Naturalne grupy wspólnotowe – rodzina i wspólnota sąsiedzka, okazywały się zbyt słabe wobec zagrożeń zewnętrznych. Powstanie instytucji państwa nie zastępowało potrzeby solidarności wspólnotowej. Państwo nie spełniało swej roli, stawało się zagrożeniem, gdy nie było oparte na lojalności obywatelskiej: ogół mieszkańców musiał chcieć przestrzegać ustanowionego przez państwo prawa, płacić podatki, uczestniczyć w obronie zagrożonego terytorium. Bez poczucia, że ten ogół łączy, nie tylko administracyjne przypisanie, ale także szersza „wspólnota ducha”, takowa solidarność nie byłaby możliwa. Intuicyjną trafność tworzenia narodów potwierdzają nieudane próby budowania na innych płaszczyznach „wielkich wspólnot”. Mimo szlachetnych wezwań nie udało się stworzyć świadomej solidarności międzyludzkiej w wymiarze globalnej. Zasada „nasza chata z kraja” jest silniejsza od sentymentu do krzywdzonego Chińczyka. Za niepowodzenie można uznać próbę tworzenia solidarności na podstawie uniwersalnych religii. Kończyły się one krwawymi wojnami religijnymi. Większe nadzieje wiązano z solidarnością cywilizacyjną, ale ta wynaturzyła się w rasizm, pogłębiając niechęci wobec „obcych” zbiorowisk. Ułudą też była idea solidarności klasowej (a raczej wojny klasowej); niezrealizowaniu tej utopii zawdzięczamy zazdrosną niechęć

marksistów wobec idei narodowej. Polityk, poszukując możliwie najlepszych rozwiązań poprawiających jakość życia możliwie największej liczbie obywateli, nie powinien kierować się uprzedzeniami wobec idei skutecznie mobilizujących solidarność międzyludzką. Bez solidarności bezpieczeństwo jednostki, a tym samym jej wolność i własność, będą stale zagrożone, bez niej niemożliwe jest marzenie o lepszym życiu.

Nie negując pozytywnego znaczenia patriotyzmu, a nawet nacjonalizmu, zauważyć można szereg problemów wynikających ze sztucznej konstrukcji narodu. Jeśli operujemy twierdzeniem o „wieczności” narodu, to przyjmujemy obraz świata zastygłego w formie. Tymczasem, poznając przeszłość, widzimy zmienność niedającą się racjonalnie określić. Dzieje ludzkości to dzieje wojen, tworzących i niszczących różne państwa, przesuających granice, budujących i obalających hierarchie władzy. W tę zmienność wpisuje się „wieczna” migracja. Współczesna ucieczka mieszkańców z niektórych obszarów Afryki i Azji, uznawana jako migracyjne zagrożenie Europy, nie jest niczym nowym w historii świata. Z czego wzięła się ta nasza Europa? Czy przypadkiem nie została zasiedlona przez pastuchów ze środkowej Azji w czasach zwanych „wędrowką ludów”? Nawet postrzegając świat z eurocentrystycznego punktu widzenia, nie znajdziemy od czasów Starożytnej Grecji po erę Angeli Merkel, ani jednego stulecia, bez ogromnych zmian powodowanych migracjami. Oprócz miejsc geograficzne trudno dostępnych nie sposób było na świecie zachować „czystość” rasy i gatunku. Fanatycy hodowli musieli zadowolić się czystością ras sztucznie tworzonych u krów, koni, psów lub kotów, frustrując się niemożliwością „naukowej” produkcji ludzi. Migracja powodowała także przemieszanie w formach zachowań, w tym także w sferach duchowości ludzi. Nie da się dowieść istnienia odrębnych „charakterów” narodowych, nie ma także narodowej kultury, obyczajowości, nauki.

Przyjmijmy z pokorą, że w globalnej zmienności, wiara w „wieczność” narodów jest utopią, choć tworzoną ze szlachetnych pobudek. Wrócić muszę do Znanięckiego i związków grupy z

przestrzenią. Dla narodu przestrzeń nazwana Ojczyzną jest wartością najcenniejszą. Obrona polskiej ziemi jest najważniejszym obowiązkiem moralnym każdego, kto uważa się za Polaka. Tu jednak pojawia się problem. Gdyby ktoś próbował zliczyć wojny według ich przyczyn, to pewnie by wyszło, że zdecydowana większość konfliktów zbrojnych dotyczy walki o przestrzeń, o prawo bycia gospodarzem wybranej przestrzeni. W dodatku w większości przypadków problemy przestrzenne są nierozwiązywalne, nie ma bowiem racjonalnej, obiektywnej metody podziału przestrzeni między grupy. Gdy ten sam hektar ziemi jest wartością najcenniejszą dla dwóch narodów, mordobicie, a nawet morderstwa i ludobójstwa bywają nieuniknione.

W społecznościach lokalnych uprawnienia gospodarzy wynikały z zasiedzenia. Znany i odczuwalny był podział na pnioki, krzaki, ptoki oraz swoich obcych. Pamięć rodzinna rzadko sięga dalej niż 3-4 pokolenia, kto miał dziadków na miejscowym cmentarzu, ten jako pniok zyskiwał pełnię praw gospodarskich. Zadaniem historyka było potwierdzenie tych praw. Tylko jak zrozumieć to uprawnienie, skoro nie tylko naród jest sztucznie tworzoną i zmienną formą, ale także przestrzeń nazywana Polską okazywała się zmienna. W tych warunkach zmienności powodowanej „odwieczną” migracją uprawnienia gospodarskie mogły wynikać z podboju i kolonizacji. Historia Stanów Zjednoczonych rozpoczyna się w XVII w., od przybycia grupy anglosaskich kolonizatorów. To co było wcześniej, w tym także wcześniejszy napływ kolonizatorów z Hiszpanii lub Francji, nie jest częścią historii państwa, bo nie potwierdza uprawnień potomków pielgrzymów z „Mayflower”. Historia USA nie jest wyjątkowa, w podobny sposób, na gruzach Imperium Rzymskiego, w drodze podboju i kolonizacji tworzyły się „narodowe” państwa europejskie. Także nasza historia rozpoczyna się od podboju ziem między Odrą a Wisłą przez Polan.

W 1740 r. pracownicy historycy wymyślili powód uzasadniający podbój i kolonizację Dolnego Śląska przez Króla Prus. 70 lat

później, w pierwszej dekadzie XIX w. ten skolonializowany Śląsk stał się kolebką i ostoją ludowego, niemieckiego nacjonalizmu. Tu najdobitniej brzmiały słowa „Niemcy ponad wszystko”, Niemcy od Memla po Triest...W 1945 r. kolejne wielkie fale migracyjne przesunęły Polskę na zachód, pracowici historycy wymyślili uzasadnienie dla przejęcia nowych ziem, nazywając je Ziemiami Odzyskanymi. 80 lat później ten na nowo skolonializowany Śląsk może nie stał się ostoją nacjonalizmu, ale zdziwienie tu budziłyby wszelkie argumenty podważające polskość przestrzeni. Można dowodzić, że przed 1945 r. Kotlina Kłodzka nigdy do Polski nie należała, ale w obiegowej opinii Łądek-Zdrój jest tak samo polski, jak Wąchock, w odróżnieniu od Londynu – bo takiego miasta nie ma. Przynajmniej tak to postrzegała pani z poczty w komedii „Miś”.

Wybierając się w ostatnią swoją podróż po łożycach i sąsiednich wertepach, przeczytałem „Odrzanie” Zbigniewa Rokity. Autora ceniłem za wcześniejszy „Kajś”, próbę uchwycenia procesu osvajania poniemieckich Gliwic, zderzania na poziomie rodzinnym autochtonizmu „pnioków” z przybyłymi z kielecczyny „ptokami”. „Odrzania” przenosiła tę opowieść na szerszą przestrzeń, stała się próbą uzasadnienia teorii o nadzwyczajności procesu kolonizacji Ziem Odzyskanych, a tym samym o unikalnej ich odrębności. Słabością książki jest nadmierne przywiązanie autora do swych teorii, połączone z neofityzmem odkrywcy. Lektura obudziła we mnie wspomnienia innych książek, w tym masowej produkcji Władysława Jana Grabskiego. Przedwojenny endek z kresowym rodowodem stał się w 1945 r. doradcą naukowym Edwarda Ochaba, specjalizującym się w dowodzeniu historycznych praw Polski do „Ziem Odzyskanych”. Pomnikowym jego dziełem był leksykon „300 miast wróciło do Polski”; choć pewnie większy wpływ na tworzenie świadomości miały jego historyczne romanse w rodzaju „Rapsodii świdnickiej”. W każdym razie Grabski, podobnie jak Rokita, uparcie podkreślał unikatowość i odrębność Dolnego Śląska i Pomorza, widząc w procesie kolonizacji tych ziem misję narodowotwórczą.

Teorie, niestety, nie zmieniają świata, choć ich twórcy żywią takie przekonanie. Ziemie Odzyskane nigdy nie stanowiły jednorodnej odrębności: Gdańsk różni się od Wrocławia, Bytom od Zielonej Góry, Szczecin od Wałbrzycha. Może nie Łądek (bo to Zdrój), ale Lwówek upodobił się do Wąchocka; zwłaszcza że oba miasta przeżyły po 1945 r. głęboką przemianę. Na Dolnym Śląsku w przestrzeni zauważyć można krzyżujące się procesy. Było tu oswajanie (spolszczanie) zastanego dziedzictwa, jak i przenoszenie porzuconej „swojszczyzny” na obce ziemie. Proces pierwszy wymagał nie tylko niszczenia „niemczyzny”, ale i rekonstruowania „zabytków” mitycznej, średniowiecznej Polskości. Drugi proces był bardziej pragmatyczny; przejmowano ponemieckie dobra (po co psuć coś, co się może przydać), naznaczając je lokalnymi symbolami ze starej „małej Ojczyzny” (od pomników sprowadzonych z Lwowa po obrazy święte z pozostawionych pod Lwowem, Grodnem lub Tarnopolem kościółków parafialnych). To przenoszenie lokalnej „swojszczyzny” udomawiało zajmowaną obcą przestrzeń, a jednocześnie pogłębiało jej różnorodność. Gdańsk jest dziedzicem Wilna, Wrocław – Lwowa; to dziś widać i czuć. Ale ani Gdańsk Pomorzu, ani Wrocław Dolnemu Śląskowi nie narzucił wzorotwórczej dominacji. Za silne są przenoszone lub zastane różnorodne lokalizmy.

Proces oswajanie, spolszczania Dolnego Śląska, praktycznie skończył się wraz z pokoleniem, przybyłym jako koloniści. Obecni wrocławianie, legniczanie, kłodzianie, mają u siebie, na miejscowych cmentarzach groby dziadków, uważają się za „pnioków”. Romantyczny mit „samych swoich”, zasiedlających okolice Lwówka, wyparty został mitem obrony „ojcowizny” przed wielką wodą 1997 r. Po za przestrzenią, uporczywie przechowującą ślady przeszłości, nie ma w społeczności Dolnego Śląska niczego, co by ją wyróżniało od społeczności z innych polskich regionów. Dzięki temu, podróżując po tamtejszych wertepach, czuję się jak u siebie. I dobrze mi z tym. Zbyteczny dla mnie jest trud historyków, dowodzących prapolskości tych ziem, skoro polskość ich przestała być

problemem.

Autorstwo: Jarosław Kapsa

Źródło: FundacjaWiP.wordpress.com

Przypis

[1] Florian Znaniecki, „Socjologiczne podstawy ekologii ludzkiej”, Poznań 1938, s. 4.